

Monika Odrobińska, DoRzeczy, nr 42, 18-24.10.2021 r.



Więźniów obozu w Potulicach dopiero w roku 1991 zaczęto traktować jak więźniów obozów koncentracyjnych. Faktycznie od tych ostatnich różnił go jedynie brak komór gazowych i krematoriów. Dzieci bez rodziców były w nim zostawione w większości na pastwę oprawców

Po wybuchu drugiej wojny światowej niektórzy sami uciekali z domów. Najczęściej przemieszczali się w głąb kraju, ale gdy po ustaniu walk kampanii wrześniowej niektórzy wracali, ich domy były już zajęte. Hitler nie wierzył w możliwość asymilacji „członków wysokowartościowego narodu” wśród rdzennej, „mniej wartościowej” ludności. Aby uniknąć konfliktów międzypaństwowych na tym tle, chciał wszystkich Niemców skupić na jednym terenie. Znacznie przekraczał on granice Niemiec, dlatego tę „przestrzeń życiową” należało poszerzyć. Wypędzanych na początku Polaków umieszczano w rozrastającej się sieci obozów przesiedleńczych z centralami w Poznaniu, Łodzi, Gdańsku, Katowicach i Zamościu.

W czasie pierwszych kilkunastu tygodni wojny, „dzikie”, czyli niezorganizowane wysiedlenia ustąpiły miejsca systemowym, wszak planowane wobec 8 mln Polaków i Żydów, czyli 80 proc. ludności zamieszkującej tereny II RP wcielonej do Niemiec, były jeszcze przed wybuchem wojny. Pozostali wykazujący proniemieckie postawy Kaszubi, Mazurzy czy Ślązacy mieli ulec niemczeniu; ci, którzy się do tego „nie nadawali”, mieli zostać niewolnikami. Młodzi i zdrowi wywożeni byli na roboty do Niemiec, a dzieci o wyglądzie aryjskim szykowane były dla niemieckich rodzin, reszta - do eksterminacji. Wypędzani mieli kilkanaście minut na zabranie niezbędnej odzieży i przedmiotów codziennego użytku oraz jedzenia na drogę. Ostatnie szacunki mówią o 2,5 mln wysiedlonej przez Niemców ludności polskiej.

TRZY PACZKI

- Tata był kuczerem, czyli woźnicą zarządcy zajętego przez Niemców majątku hr. Potulickiej w Potulicach - mówi Stanisław Rosada z Nakła (rocznik 1935). - Codziennie o godz. 7 czekał już powózką pod dworem i mógł obserwować ukradkiem pracujących tam więźniów z obozu. Z czasem udało mu się nawiązać z nimi kontakt. Od kiedy Niemcy ich aresztowali i wywieźli z Wejherowa i Kartuz, ich rodziny nie wiedziały, co się z nimi dzieje. Tata brał od nich potajemnie listy, by potem w miasteczku nadać do wysyłki. Korespondencja kwitła w obie strony. Niemiec, którego ojciec obwoził, nie wiedział, że pod wozem są zakazane przesyłki.

Stanisław Rosada urodził się w Potulicach. Pięcioosobowa rodzina zajmowała mieszkanie zaraz przy ulicy: pokój z kuchnią i korytarzykiem. Od lutego 1941 r. widział co jakiś czas pędzone pod oknami transporty do obozu - tłum wyczerpanych, wygłodniałych więźniów był pędzony 7 km od stacji kolejowej w Nakle nad Notecią. - Wtedy mama kromki upieczonego przez siebie chleba zawijała w gazetę „Deutsche Rundschau” i mówiła: „Rozdaj im ten chleb, a uważaj, żeby cię Niemcy nie zastrzelili”. Więc rzucałem im z kucek te pakuneczki, a oni chwytały łapczywie. To samo robiła jeszcze jedna kobieta, ale dostrzegł ją Niemiec i kolbą karabinu złamał jej rękę.

Zanim wysiedleńców wsadzono do pociągów wiozących do obozu, na rynku pojawiała się grupa Niemców, głównie z Besarabii. - Brali od Polaków tabliczki z numerem gospodarstw, po czym jechali je zająć jak swoje. Wchodzili pod jeszcze ciepłą polską pierzynę - mówi historyk z Muzeum Ziemi Krajeńskiej Mariusz Gratkowski. - Proces ten trwał do czasu, gdy na tereny te wchodzili już Rosjanie. Willę Anna w Nakle zajął niemiecki lekarz, zamordowany potem w Fordonie VI. Wiele lat po wojnie przyjechała tu jego spadkobierczyni i pytała, czy Polacy mają uregulowane stosunki własnościowe nieruchomości. Wówczas właścicielka sprostowała, że to Niemcy dzierżawili willę, podobnie jak wszystkie inne gospodarstwa powierzone im przez III Rzeszę, a ich prawowitymi przedwojennymi właścicielami są Polacy. Nie ma co kłaść uszu po sobie i warto dowodzić prawdy w tym zakresie.

Zapomniany obóz

Wpisany przez Cwi Mikulicki
Czwartek, 23 Grudzień 2021 12:36 -

